ROZMAITOŚCI.

Dnia 23. listopada, Nr. 47. roku 1844.

WSPOMNIENIE o pobycie Napoleona na wyspie ś. Heleny. *)

PRZEZ MISTRESS ABELL.

Ofiarując publiczności tych kilka kartek — mówi wyżwspomniona mistress — spodziéwam się, iż mię nikt o zarozumiałość nie oskarzy. Żyjąc w ścisłém towarzystwie z Napoleonem, uważam za powinność prawie świętą, udzielić wszystkich zdarzeń, które, chociaż z siebie samych mało ważne, mogą wszelako posłużyć do rzucenia niejakiego światła na jego charakter.

Zamiarem moim w tych pamiętnikach jest, o ile możności ograniczyć się jedynie na tém, co się dotyczé osoby Napoleona; chociaż przyjemnie jest, przywodzić sobie w pamięć swój wiek dziecinny, wszelako z największą skrupułatnością opowiadać będę o sobie to tylko co się moich stosunków z cesarzem tyczé. Wszakże sądzę że krótkie opisanie miejsc, do których się te pamiętniki odnoszą, nie będzie uważane za rzecz żadnéj wagi nie mającą, i nie będzie się sprzeciwiać mojemu przyrzeczeniu.

Ze strony morza, wyspa ś. Heleny nie stawia widoku do złudzenia podróżnego. Skały stérczące z oceanu w formie podługowatéj, ze swémi prostopadłémi ściany, wzbudzają raczéj wyobrażenie ogromnego statku stojącego na kotwicy, niżeli ziemi, przeznaczonéj na mieszkanie dla ludzi i dającéj sposób utrzymania się istotom żyjącym. Wyspa wspomniona, patrząc na nią zbliska, niéma w sobie nic powabnego. Gdy okręt zbliża się do niéj w porze nocnéj, podróżnik, wyszedłszy na pokład, nie może się oprzéć przerażającym go uczuciom. Głębokość wody dozwala okrętom zbliżyć się do brzegu, podróżnik przywykły oddawna do obszernego widokręgu morskiego, przerażony zostaje ponurémi skałami, które mu grożą, jako zawieszone o kilkaset stóp nad jego głową, a które się zdają, jakby je miał na dłoni. Przebywszy około bateryi, zwanéj Munden, odsłania się zaraz miasteczko James-Town. Nic bardziéj nie uderza, jak ów charakter smutku i zniszczenia, które to małe przedstawia miasto w związku razem z wyspą ś. Heleny. Wszystkie domy zbudowane są w szérokim wąwozie, którego uformowanie się przypisać należy jakiejś strasznéj rewolucyi ziemi. Rzekłby ktoś że skały, zmordowane samotnością w pośrodku wód, poziéwają z nudów, i nie mogą zamknąć swéj paszczy. Ściśniona dwoma wałami prawie pionowo idącémi dolina (takie bowiem jest imię, które mieszkańcy z James-Town dają swemu miastu) jest zupełnie zamknięta dla świéżych wiatrów morskich, tak przyjemnych do oddéchania w kraju podzwrotnikowym; ztąd gorąco tak jest zabijające, iż go prawie trudno znieść przez dziewięć miesięcy.

Szczęściem dla nas, ojciec mój miał o pięć ćwierci mili od doliny mieszkanie zwane *the Briars*. Piękność położenia i pobyt trzechmiesięczny Napoleona w tém ustroniu po jego przybyciu na wyspę ś. Heleny, zniewalają mię do powiedzenia kilka słów o naszéj małéj wili.

Drogę wiodącą z James-Town do Briars przerzynają stronami góry. Gdym pierwszy raz przybywała do naszéj odosobnionéj sie-

*) Te wspomnienia, będące dodatkiem potrzebnym do pamiętników tyczących się niewoli Napoleona, ogłoszone zostały po raz pierwszy w Anglii.

dziby, nie mogłam się oswoić ze ścieżką samotną, albowiem siedząc w koszu odbyłam podróż na plecach murzyna, który złożył mię dopiero na progu naszego mieszkania. Dom zbudowany był w stylu mieszkańców Indyj, zwanych Bungalows. Mając tylko jedno piętro, był nizkim, i gdyby nie położenie miejsca, nie miałby żadnéj przyjemności, tak zaś nabrał trudnych do opisania powabów od bogatéj wegetacyi, wpośród któréj się ukrywał. To roskoszne ustronie, zamknięte pomiędzy nieurodzajnémi górami, podobne było do ziemskiego raju, który wyszedł z łona zniszczonéj ziemi. Do mieszkania prowadziła piękna ulica drzew figowych rajskich, po bokach otaczały ją olbrzymie *lacos*, zpomiędzy tych wyglądały granaty i mirty, jakoteż róże białe, których kwiat bardzo podobny do kwiatu róży dzikiéj, dał naszéj siedzibie nazwę *the Briars* (*sweet briars*, dzika róża). Ogród, do którego prowadził chodnik wysadzony granatami wysokiémi 40 stóp, rozwijał wszystkie kwiaty, i wszystkie owoce zwrotnikowe. Ileż razy w mojém marzeniu nie błądziłam pod cieniem jego drzew pomarańczowych, pośród grusz indyjskich, drzewami mango, winną macicą, i drzewami figowémi, których cień tak był miły Napoleonowi. Natura zazdroszcząc piękności tego roskosznego miejsca, okoliła je trudnémi do przebycia zaporami. Na wschód ogród ten był warowny straszną przepaścią. Góra zwana Peak-Hill broniła przystępu od południa; od zachodu płaszczyzna ta kończyła się raptowną pochyłością, a od północy był wodospad, którego nie mogę dokładnie oznaczyć wysokości, ale który toczył znaczną kolumnę wody. Naprzeciw mieszkania ogród zamknięty był płotem drzew aloesowych i figowych indyjskich, przez który żadna istota żyjąca przecisnąć się nie mogła.

Już kilka lat upłynęło, jakeśmy mieszkali w tém poezyjném ustroniu, gdy na raz jeden nasza mała wyspa nabawiona została niespokojnością na doniesienie, że Napoleon Bonaparte będzie na nią przewieziony jako więzień stanu. Byłoto w miesiącu październiku 1815, gdy nas uwiadomiono o bliskiém jego przybyciu.

Pewnego poranku usłyszeliśmy wystrzał działowy z warowni Ladeln-Hill, na znak zbliżającego się okrętu. Wieczorem tegoż samego dnia przybyło dwóch oficerów marynarki do Briars. Jeden tychże, kapitan D..., dowódzca okrętu wojennego Icarus, żądał mówienia z moim ojcem, dodając że ma ważnych udzielić mu wiadomości. Przypuszczony oznajmił, że Napoleon Bonaparte znajduje się na okręcie Northumberland, dowództwa Jerzego Cockburña, i wysiędzie za dwa lub trzy dni na wyspie ś. Heleny. Słowa kapitana mocno mię przeraziły, i przekonana byłam, że nam straszna zagraża katastrofa, chociaż nie wiedziałam przyczyny, dla czego taką czułam obawę.

Będąc małą, wystawiałam sobie z początku cesarza jako ludożercę lub olbrzyma, z wielkiém w pośród czoła okiem, z którego płomienie wybuchały, i wielkiemi zębami, pożérającego małe, nieposłuszne dzieci. Wiek dojrzalszy uleczył mię z téj dziecinnéj imaginacyi, lecz przestrach mój bynajmniéj się nie zmniejszył. Imię Bonapartego przywodziło mi na myśl wszystko, co tylko może być niecnego i szkaradnego. Słyszałam że go oskarzano o największe zbrodnie, a jeżeli miałam go uważać za człowieka, tedy byłto najgorszy z ludzi, jaki kiedy żył na świecie. Nie ja sama tak sądziłam, zdanie moje podzielało wiele osób mądrzejszych i starszych ode mnie, mogłabym rzec, że może większa część Anglików, większa część dzienników ówczesnych kreśliła cesarza témi strasznémi kolorami, i wszyscy Francuzi mieszkający w Anglii, nie sprzyjając mu, nie dawali lepszego o nim wyobrażenia. Ztąd uczułam mocną niespokojność, gdy mój ojciec we dwa dni później opuścił dóm, i udał się na pokład okrętu, który zarzucił kotwicę.

Flotylla składała się z okrętów Northumberland, Havannah, i kilku innych, niemniéj z okrętów przewozowych, które miały na sobie pułk 53. Z wielką bojaźnią oczekiwaliśmy powrotu naszego ojca; nakoniec przybył w pożądaném zdrowiu, i zaraz zadawaliśmy mu mnóstwo pytań. Ojciec mój nie widział Bonapartego, lecz był przedstawiony tylko paniom Bertrand i

Montholon, jakoteż innym osobom z orszaku cesarza. Oznajmił nam przytém, że Napoleon miał wysiąść na ląd tegoż samego wieczora, i że będzie mieszkał u p. Portens, dopóki Longwood, który ma być jego mieszkaniem, nie będzie dla niego gotowe.

Tak mocno pragnęliśmy poznać dostojnego wygnańca, żeśmy postanowili pójść tegoż samego wieczora do James-Town, aby być obecnymi jego wylądowaniu.

Już słońce było zaszło, gdyśmy nad brzeg morza przybyli; jakoż wnet łódź okrętu Northumberland zbliżyła się do miejsca wylądowania, i widzieliśmy człowieka, co wyskoczył z łodzi na ziemię, a o którym powiedziano nam, że to cesarz, atoli było tak bardzo ciemno, żeśmy nie mogli rozpoznać jego rysów twarzy. Wszyscy mieszkańcy wyspy ś. Heleny zbiegli się dla widzenia go; takie mnóstwo było ludu, że trudno było zrobić dlań przejście, i żołnierze otrzymali nakoniec rozkaz, nie pozwalać ciekawym cisnąć się do miasta, gdzie odprawił wjazd, otoczony admirałem i jenerałem Bertrand. Później słyszałam go często opowiadającego nam, jak był znudzony i rozgniewany, że lud tak za nim biegł i przypatrywał mu się jak dzikiemu źwierzęciu. Powróciliśmy do Briars dla mówienia i marzenia o Napoleonie.

Nazajutrz rano spostrzegliśmy małą karawanę, idącą wokoło góry, u podnóża któréj wyglądało nasze mieszkanie, jakby z gniazda zielonego; natychmiast wzrok nasz utkwił w podróżnych, i jeden z nas wykrzyknął, że postrzegł mały trójkątny kapelusz. Ten znak przekonał nas o obecności Napoleona, i sądziliśmy, że się udaje do Longwood, dla zwidzenia swojego przyszłego mieszkania. O czwartéj wieczorem postrzegliśmy nanowo na krętéj drodze około góry idącéj, tych samych jeźdźców, którycheśmy rano widzieli. Przybywszy do wązkiéj ścieżki, wiodącéj do Briars, wstrzymali się na chwilę, jakby dla naradzenia się, poczém uważałam ze strachem, że zmierzali ku naszemu mieszkaniu. Piérwszą moją myślą było uciec i skryć się, dopóki nie odjedzie; matka moja kazała mi pozostać i przypomnieć sobie to, co umiałam po francuzku. Nauczyłam się cokolwiek téj mowy podczas pobytu ojca mojego w Anglii, a ponieważ mieliśmy służącę francuzkę, miałam zwyczaj mówienia tym językiem.

Przybywszy przed drzwi mieszkania, wszyscy jeźdźcy zsiedli z koni, wyjąwszy cesarza; i wnet widziałam go zbliżającego się ku naszemu domowi, ze szkodą naszéj pięknéj trawy, bo jego koń deptał murawę. Obok niego szedł Jerzy Cockburn i jenerał Bertrand.

Stanął więc przedemną ten, któregom się tak mocno obawiała. Jego poważna postawa mocno mię zajęła. Koń jego, podwyższając go, nadawał mu to, czego mu nie dostawało, aby był najokazalszym z ludzi, jakich kiedy widziałam. Miał na sobie zielony mundur, lśniący się gwiazdami, czaprak na koniu był z aksamitu karmazynowego, szyty złotem. Zsiadł z konia przede drzwiami domu, i wszyscy stanęliśmy przed nim. Jérzy Cockburn przedstawił nas cesarzowi. Widząc jego mały wzrost w porównaniu z wysoką postacią i miną arystokratyczną admirała, stracił on wiele z téj godności, jaką byłam napojoną z piérwszego wejrzenia. Był mocno blady, rysy jego, chociaż zimne, nieruchome i dosyć surowe, bardzo piękne mi się być wydawały. Usiadł, i potoczywszy swoim orlim wzrokiem wokoło naszego małego mieszkania, powinszował mojéj matce przyjemnego położenia jego w Briars. Jak tylko zaczął mówić, uśmiech jego czarujący i owa uprzejmość, pozbawiły mię zupełnie bojaźni, z jaką nań patrzyłam.

Podczas gdy z moją matką rozmawiał, miałam czas rozpoznawać pilnie jego twarz, i znajdowałam ją coraz bardziéj znaczniejszą. Portrety jego dają dosyć dokładne wyobrażenie o rysach jego twarzy; atoli jego uśmiech, wyraz jego oczów nie mogły być przeniesione na płótno, a toćto był główny urok jego osoby. Zęby miał regularne, lecz kolor ich był przyciemny; dowiedziałam się później, że to pochodziło ze zwyczaju trzymania ciągle w ustach lukrecyi, któréj miał zawsze zapas w kamizelce.

Cesarz zdawał się być zadowolonym z po-

łożenia w Briars, i rzekł: że poczyta się za szczęśliwego, gdy będzie tu mógł mieszkać. Ojciec mój ofiarował apartament Jérzemu Cockburn, lecz ten oświadczył natychmiast, iż gotów jest odstąpić go jeneralowi Bonaparte, i zgodzono się z wielkiém zadowoleniem Napoleona, że będzie naszym gościem, dopóki rezydencyja jego w Longwood nie będzie dlań ukończoną.

Rodzinę naszę składali wtedy mój ojciec, matka, moja siostra, ja i dwóch moich braci, którzy byli jeszcze dziećmi. Napoleon wolał niewracać do miasta, i oświadczył życzenie, aby mu urządzono mieszkanie. Na jego żądanie wyniesiono kilka krzeseł na trawnik, usiadł na jedném, i prosił mnie, abym zajęła miejsce obok niego, co uczyniłam, a serce biło mi gwałtownie.

Wtedy rzekł do mnie: »Mówisz wpanna po francuzku?«

Odpowiedziałam w sposobie potwierdzającym; poczém chciał wiedzieć, jak się nauczyłam tego języka. Gdym odpowiedziała na te pytania, zapytał mnie o nauki, a szczególniéj o naukę jeografii. Zapytywał się o imiona różnych stolic europejskich.

»Które jest miasto stołeczne Francyi?«

»Paryż.«

»Włoch?«

»Rzym.«

»Rossyi?«

»Teraz Petersburg,« odrzekłam, »niegdyś była Moskwa.«

Usłyszawszy to słowo, obrócił się raptownie ku mnie, i przeszywając mię swoim wzrokiem, zapytał mię surowo:

»Kto ją spalił?«

Wyraz jego spojrzenia, i zmiana głosu powróciły dawną mą bojaźń, i nie byłam w stanie, ani jednéj wymówić sylaby. Słyszałam często mówiących o pożarze Moskwy, i byłam obecną rozprawom nad pytaniem, czyli Francuzi lub Rossyjanie zapalili miasto; ale obawiałam się obrazić cesarza, aby mniemanie o tém zdarzeniu przytoczyć.

Powtórzył swoje pytanie, i tą raza wybąknęłam:

»Niewiém, mój panie.«

»Tak, tak,« odrzekł uśmiéchając się w sposobie zaprzeczającym, »wpanna dobrze wiész, żem ja spalił to miasto.«

Widząc, że się śmieje, nabrałam nieco odwagi i rzekłam:

»Sądzę że Rossyjanie spalili Moskwę, dla pozbycia się Francuzów.«

Śmiał się nanowo, i zdawał się być zadowolony, że byłam zawiadomioną o téj okoliczności. Wtém wstał i poszedł, że zaledwie mieliśmy czas do urządzenia przyzwoicie jego apartamentu. Podczas gdyśmy się spieszyli uporządkowaniem wszystkiego wedle jego woli, przechadzał się on po ogrodzie i zakładach. Za nadejściem nocy wszedł do mieszkania, a że mój ojciec i moja matka z trudnością mówili po francuzku, albowiem języka tego mało podówczas uczono się w Anglii, obrócił się znowu do mnie, zapytując się, czyli lubię muzykę.

»Wpanna jesteś za młodą, abyś była muzykalną;« dodał.

Uczułam się być dotkniętą tą uwagą, odrzekłam, że umiém śpiéwać i grać na fortepianie.

Prosił mnie, abym śpiéwała, i zaśpiéwałam moję ulubioną balladę szkocką: »*Ye clans and braes.*« Gdym skończyła, powiedział mi, że to jest najpiękniejsza aryja angielska, jaką kiedy słyszał. Odrzekłam znowu, że to jest ballada szkocka, na co powiedział, że bardzo jest przyjemna, i nie może być angielska, ponieważ, dodał, muzyka angielska jest nieznośna i najgorsza w świecie.

Poczém wypytywał się mnie, czyli nie umiém jakiéj pieśni francuzkiéj, między innémi: »*Vive Henri IV.*« Odpowiedziałam, że nie umiém. Począł więc nucić tę pieśń, przybrał minę roztargnionego, wstał ze swego miejsca, i przechadzał się wzdłnż i poprzek po izbie oznaczając takt. Skończywszy pieśń, zapytał się mnie, co o niéj sądzę. Odrzekłam, iż mi się zupełnie nie podoba, albowiem nie mogłam w niéj poznać aryi. W rzeczy saméj Napoleon nie miał bynajmniéj głosu muzykalnego, a nawet sądzę, że nie miał muzykalnego słuchu, albowiem probował kilkakrotnie śpiéwać, a zawsze trudno mi było rozpoznać, jaką aryję chciał nucić. Wszelako był on dobrym sędzią muzyki, jeźli wolno jest Angielce wyrazić swoje zdanie w tym względzie, po zganieniu formalném przez Napoleona naszych talentów muzykalnych, co pochodzi zapewne ztąd, iż ciągle słyszał najlepszych exekutorów. Okazywał największą antypatyję ku muzyce francuzkiéj, która podług niego, była tak nieznośną jak i angielska, i utrzymywał, że tylko Włosi są w stanie napisać operę.

Jedna z naszych przyjaciółek, która nas często odwidzała, miała wielką pasyję, ale pasyję nieszczęśliwą, do śpiewu włoskiego. Zwykle brała się do sztuk wielkich, które w jéj ustach brzmiały jak może być najśmieszniéj. Jednakowoż Napoleon wzywał ją ciągle do śpiéwania, i słuchał jéj sam z największą grzecznością, atoli gdy wyszła, prosił mnie, abym jéj śpiew udawała, a moje udawanie zdawało

się go bawić. Wtedy miał zwyczaj zamykać oczy, i mówił, że zdaje mu się, iż słyszy mistress ***; poczém dziękował mi tym sposobem — jakim tamtéj zwykł dziękować! Wkrótce cesarz odszedł do swoich pokojów, zaśpiéwawszy mi wprzód aryję: »*Vive Henri IV*« i na tém skończył się piérwszy dzień jego pobytu w Briars.

Niepodobieństwem jest, abym zdała sprawę szczegółową ze wszystkich drobnych czynności, co znamionowały każdy dzień jego pobytu w naszym domu. Żałowałam zawsze, żem nie prowadziła dziennika regularnie wszystkiego, co się go tyczyło; ale podówczas byłam za płochą, abym mogła była poznać się na ważności takiego dziennika.

Tymczasem większa część zdarzeń, które tu chcę opowiadać, zostały spisane nieco późniéj; a inne zachowałam w pamięci, ponieważ je często moim opowiadałam przyjaciołom. Czytelnik zatém może polégać na wierném mojém opowiadaniu.

Życie cesarza było proste i uregulowane. Wstawał zwykle o ósméj, i kontentował się filiżanką kawy aż do śniadania, które było o piérwszéj godzinie. Obiadował o ósméj godzinie, i odchodził do swoich pokoi o jedynastéj. Jego układ był tak przyjażny, tak przyjemny, że wkrótce najmiléj mi było w jego towarzystwie. Zaledwie kilka dni upłynęło, a już uważałam go więcéj za towarzysza mego wieku, jak za potężnego wojownika, którego imię trwożyło świat cały. Humor jego był dosyć wesoły natenczas, a czasem posuwał to zamiłowanie żartów aż do dzieciństwa. A najczęściéj do swéj wesołości mieszał złośliwość.

Wkrótce po jego przybyciu, mała dziewczynka miss Legy przyjechała nas odwidzić w Briars. Biédne dziecko słyszało wiele okropnych historyj o Bonapartem, a kiedy jéj rzekłam, że się po murawie przechadza, uczepiła się mnie drząc na całém ciele. Zapomniawszy o dawnéj mojéj trwodze byłam tak złośliwą, żem poszła do cesarza, i opowiedziawszy mu przestrach małéj dziewczynki, prosiłam go, by wszedł do salonu. — Poszedł za mną, i wprost do dziewczyny, zburzył sobie ręką włosy na głowie, i zaczął wydawać głosy dzikie i okropne, krzywiąc się. Dziecko wydało krzyk tak przeraźliwy, że moja matka, bojąc się, ażeby nie dostało konwulsyi, wyniosła je z pokoju. Napoleon śmiał się bardzo, widząc się za stracha uważanym; i zaledwie chciał mi wierzyć, że i ja osoby jego równie się bałam, jak i moja mała przyjaciółka. Słysząc moją powieść, chciał mnie tak straszyć, jak tę biédną miss Legy, burząc sobie włosy i krzywiąc twarzą; lecz nie udało się mu; śmiałam się tylko serdecznie. Zdesperowany tém niepowodzeniem, udał się, ale nie z lepszym skutkiem, do strasznego ryku, który, jak mi mówił, jest kozackim. — Używał wiele ruchu w téj porze i lubił robić wycieczki na dolinę i na sąsiednią górę. Jednego wieczora wyszedł na przechadzkę z jenerałem Gourgaud, moją siostrą i mną. Kiedy przechodziliśmy przez łąkę, gdzie się krowy pasły, jedna z nich zniżając głowę i wyprężając ogon, posunęła się krokiem bojowym ku cesarzowi. Natychmiast zrobił prędki i mądry odwrót, przelazł lekko przez mur, ażeby tym wałem zasłonić się od nieprzyjaciela. Ale jenerał Gourgaud nieopuścił placu, i jako mężny rycerz wyciągnąwszy szpadę, rzucił się między swojego monarchę i krowę.

»To już drugi raz ocalam życie cesarzowi!« krzyknął.

Ta mowa jenerała uśmieszyła z całego serca Bonapartego, który rzekł:

»Powinien się był postawić w takiéj pozycyi, jakby do odparcia konnicy.«

Powiedziałam mu, że krowa nagle się uspokoiła i wstrzymała, od chwili jego zniknienia. Nie przestając się śmiać, odrzekł mi:

»Chciała oszczędzić rządowi angielskiemu kosztu i nudów mojéj niewoli.«

W czasie swego pobytu pod naszym dachem, cesarz zajmował tylko jeden pokój i pawilon w namiocie. Pokój był zbudowanym ażeby służył za salę balową. Przed tym pokojem rozciągała się murawa otoczona sztachetami, wpośrodku któréj znajdował się pawilon, do którego przechód był pokryty. Pawilon był podzielony na dwie części. Napoleon sypiał w głębi jednéj, a w rogu drugiéj było małe łóżeczko polowe, z zielonémi jedwabnémi firankami, na którém sypiał jenerał Gourgaud. Byłoto łóżko, którego Napoleon używał w kampanijach. Między dwoma przedziałami namiotu, wierni jego słudzy wyrobili byli na ziemi koronę, tak, że Napoleon niemógł przejść z jednego przedziału w drugi, ażeby nie postawił nogi na to godło dostojności królewskiéj. Cesarz, jak się zdawało, nie lubił wykwintnego stołu; żywił się bardzo pojedyńczo i mało go to obchodziło, co będzie jadł. O dziewiątéj, jego marszałek Cipriani stanąwszy przed nim, mówił tonem solennym, kłaniając się głęboko:

»N. Panie! Dano już do stołu.«

Co wyrzekłszy, obracał się, a za nim szedł Napoleon i osoby, które miały z nim obiadować. Gdy się stół kończył, cesarz opuszczał raptem swój stołek i stół, i spieszył wyjść z ja-

dalni, jak się zdawało, mocno zaspokojony, że odbył pańszczyznę.

W kilka dni po swojém przybyciu cesarz zaprosił mnie i moję siostrę na obiad, podczas którego żartował sobie z Anglików, że są zamiłowani w rosbifie i w plumpudingu. Ja z mojéj strony oddając mu wet za wet, żartowałam sobie z Francuzów, że żabami żyją, i wybiegłszy z sali, powróciłam spiesznie z karykaturą wystawiającą Francuza suchego i wychudłego, wyciągającego niezmiernie język, na końcu którego była żaba, gotowa skoczyć mu w gardło. Pod tą karykaturą był napis: »Obiad Francuza.« Cesarz rozśmiał się z mojéj impertynencyi, i wziął mię za uszy, co czynił często, gdy był wesoły, lub kiedy moje psoty pozbawiały go cierpliwości.

Mały Las Cases (tak nazywał cesarz syna hrabiego Las Cases) był tego dnia w liczbie zaproszonych do stołu; miał on wtedy lat 14; cesarz bawił się żartując sobie ze mnie, że będę jego żoną. Tego dnia dokuczył mi bardziéj jak zwyczajnie, co mię mocno rozgniewało; niemogłam znieść, aby się ze mną obchodzono jak z dzieckiem, szczególniéj w téj chwili, w któréj prosiłam o pozwolenie znajdowania się na balu, który miał być niebawem. Napoleon, widząc mój smutek, rzekł do młodego Las Cases, aby mię pocałował i ujął mię za ręce, abym się nie broniła. Starałam się koniecznie uciec, ale na próżno. Uwolniwszy się, pochwyciłam dobrze małego Las Cases za uszy; ale nie dosyć na tém, postanowiłam pomścić się na Napoleonie. Upatrywałam do tego sposobność, która mi się téż nadarzyła.

(Dokończenie nastąpi.)

Obiad na amerykańskim statku parowym.

»Znajdowaliśmy się w zatoce mexykańskiéj; czas był bardzo burzliwy; gwałtowny wicher uderzając z przodu, piętrzył ogromne bałwany naprzeciw przedniéj części okrętu; nasz statek pruł całą siłą opiérające się fale i był nieustannie to w górę podnoszony to w głąb morza rzucany; my dla bezpieczeństwa siedzieliśmy w kajucie, na pysznych sofach, jakby na dzikich rumakach, które wnet dęba stają, wnet tylnémi nogami wiérzgają. — Na pokładzie, aby nie upaść, trzeba było co chwili chwytać się czegoś. — Nad nami szarzało omroczone chmurami niebo, wokoło nas, jak daleko wzrok sięgał, wznosiły się góry bałwanów, których piana okryte wierzchołki podobne były do śnieżnych szczytów alpejskich; niekiedy tylko wyjrzała jakaś stroskana twarz przeze drzwi kajutowe na pokład, dla przekonania czy nas jeszcze morze nie pochłonęło. — Złośliwe fale zdają się osobliwie czatować na taką chwilę; w okamgnieniu uderzy bałwan o statek i strumieniem morskiéj wody obleje ciekawego. Poczém słychać tupot spiesznych kroków uciekającego po schodach na powrót do kajuty i brzmi powszechny śmiech majtków, przygłuszony nieco łoskotem burzy. — Gdy zejdziem do kajuty, ujrzymy tam żywe obrazy, których widok byłby niewymownie zachwycił Hogarta. Chcemy iść naprzód, lecz szalone skoki okrętu pozbawiają nas wszelkiéj równowagi, zataczamy się z kąta do kąta, i padamy wreszcie na ziemię w najśmieszniejszém, jakie sobie tylko wystawić możemy położeniu. Nimeśmy się jeszcze podźwignąć zdołali, już się okręt przechylił w inną stronę, i już lecimy piorunem w przeciwny kąt kajuty, gdzie uderzając głowami naprzeciw sobie, wywracamy koziołka pomiędzy rumowiskiem stołków, kapeluszów, pudełek i pudełeczek. — Nadchodzi pora obiadowa. Wszyscy, którzy tylko nie są chorobą morską złożeni, zgromadzają się w kajucie; kapitan okrętowy, pełniący urząd gospodarza, w czarnym fraku z białémi mankietami, prowadzi czyli raczéj balansuje dwie damy na miejsca honorowe, i sadza je obok siebie na sofie. Reszta osób wyłazi na swoje krzesła; nareszcie wszyscy usiedli. Na stole leży nakrycie, mające podobieństwo do dużéj ramy w kraty, z głębokiémi dołkami, w które się talerze, półmiski, śklanki i butelki stawiają. Wchodzi steward z wazą, za nim służebny murzynek z kartoflami, daléj inni służący z różnémi potrawami. Ledwie co ustawiono wszystko na stole, a służący poręczy naszych krzeseł się poczepiali, już uderza gwałtowny bałwan o statek, okręt staje znów dęba, a w oka mgnieniu — wszystko w chaotycznym nieładzie. Słudzy leżą w kącie kajuty jak śledzie, jeden na drugim. Zupa grochowa spoczywa na kolanach kapitana, jedna z dam trzyma ogromną szynkę w objęciach a druga przyciska czule pieczeń do serca; temu usiadło parę kurcząt za kołnierzem, ten jak laurem uwieńczony puddingiem, wszyscy inni pływają w sosie, a niewinne kartofle skaczą swawolnie po podłodze. Jeden usiłuje ocalić swój talerz od rozbicia, drugi porywa nóż i widelce; inny znów, padając, podnosi trwożnie pełną śklankę do góry, a drugą ręką chwyta się za krzesło najbliższego sąsiada. Wszystko w największém zamieszaniu; rzekłbyś iż pierwotny chaos powraca! — Lecz oto nowy bałwan w okręt uderza, a steward zatacza się ze służbą w inną stronę kajuty, gdzie z roz-

ciągnionemi ramionami stoją jak posągi, i nieśmią się ruszyć z miejsca. Talerze, półmiski, noże, widelce — wszystko uderza w téj chwili razem o siebie, tłucze się, dzwoni, stuka; steward z pomocnikami łazi teraz raczkiem po podłodze, i zbiera tańcujące kartofle, które mu wraz z kurczętami skaczą po nogach. — Wreszcie statek się znowu uspokoił; porozrzucane części obiadu są już szczęśliwie pozbierane, a ci, którzy nie postradali apetytu, zabierają się do jedzenia. Niektórzy ostrożniejsi usiedli w kącie kajuty na gołéj podłodze, i wzięli talérz przed siebie między kolana, sądząc się tak zupełnie bezpiecznymi. Lecz za nowém rzuceniem okrętu, ku ich wielkiemu zadziwieniu, znajdują się nagle na innem wcale miejscu, w innéj wcale postawie. Ci się śmieją, ci płaczą, inni łają, wszyscy jednak są tego zdania, że dla głodnego żołądka niemasz nic smutniejszego, jak obiad w burzliwy czas na okręcie.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł nr. 47my i obejmuje: 1) Doświadczenie z uprawą jęczmienia Nampto i z zimowym groszkiem, przez Redaktora przedsięwzięte. 2) O żywych płotach i różnych użytkach z krzewów na ten cel użytych. 3) Jaki koń ma być użyty do poprawienia ras naszych koni, wschodni czy zachodni? przez P. J. Kułaczkowskiego. 4) O handlu tegorocznym na Sanie. 5) Raporta handlowe od 11 do 18 listopada r. b. Targ tygodniowy na woły we Lwowie. Z Rzeszowskiego 8 listopada r. b. Z okolic Złoczowa 7 listopada r. b. Uwiadomienie o dalszém wychodzeniu Tygodnika rolniczo-przemysłowego, o zniżeniu przedpłaty z 10 na 8 zr. 24 kr. m. k., i o innych zobowiązaniach się redakcyi.

Dziennika mód paryskich, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 24ty i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Pieśń za murem, wyjątek z niedrukowanego poematu, przez Kornela Ujejskiego. 2) Bogaci i ubodzy, obrazek przez A. G. 3) O sztuce dramatycznéj. 4) Ustęp z trajedyi Ponsarda »Lukrecyja«.

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* na miesiąc listopad zawiera następujące artykuły: 1) Kilka słów o jurysprudencyi. 2) Oderwany rozdział z rękopismu pod tytułem: Studyja fizyjologiczne wielkich stolic zachodniéj Europy, przez Kajetana Niepowie. 3) Poezyje: Herman i Dorota, tłum. z Getego, przez Antoniego Czajkowskiego. — Żyd wieczny, przez tegoż. 4) Mieczysław pierwszy, obraz z dziejow polskich, przez Alexandra Przeździeckiego. 5) Pamiętniki Seglasa, przez Fryderyka br. Skarbka (ciąg dalszy). 6) Pomiary barometryczne Bieskidów, Tatrów i wzniesień od nich równoległych, wykonane przez Ludwika Zejsznera, z dwiema tablicami. 7) Niektóre uwagi nad rozprawą p. Ludwika Zejsznera o temperaturze źródeł tatrowych. przez Jerzego Bogumiła Pusza. 8) Kronika literacka. 9) Rozmaitości. Leon Pierożyński, poeta przeszłego wieku. — Wspomnienia, przez Au. Wi. — Przetrząśnienie artykułu w Biblijotece warszawskiéj, pod tytułem: Przedchrześcijańskie na ziemi naszéj pomniki dla bóstw Lelum-polelum i Swistum-poświstum, przez Józ. Kołaczkowskiego. — Wiadomości o nowéj ustawie górniczéj krakowskiéj. 10) Kronika zagraniczna. 11) Kronika biblijograficzna. 12) Doniesienia literackie. 13) Dostrzeżenia meteorologiczne.

Użycie pary do gaszenia. Dziennik »*Echo du monde savant*« z dnia 14 marca, udziela następującéj wiadomości: »W pewnéj wielkiéj fabryce wybuchł pożar, wtém pękł kocieł parowy, a gdy się para nagle po wszystkich ogniem zajętych piętrach rozeszła, ugasł ogień natychmiast jakgdyby czarodziejską sztuką stłumiony. To postrzeżenie stało się powodem dokładniejszych doświadczeń. Napełniono miejsca pod ziemią palnemi materyjałami, zostawiając jednak dostateczny przystęp powietrzu; potém gdy pożar wzmógł się do najwyższego stopnia, pozatykano otwory i wpuszczono do piwnicy prąd pary, który w jednéj chwili cały ogień ugasił. Jakoż posiada para w saméj istocie tę własność, iż wnika wszędzie gdzie się pali, czyto na dół, czy w górę; zgęszczając się zaś ostudza się i wypiera zarazem powietrze, na które działa już nie jako para lecz jako płyn kroplisty. — Ze wszystkich przedsięwziętych doświadczeń okazuje się, że para jest najlepszym środkiem przeciw wewnętrznym pożarom; z któregoto powodu, w wielu fabrykach których maszyneryja za pomocą pary w ruchu się utrzymuje, poprzyrządzano dla ostrożności rury przy kotłach, skierowane ku miejscom, które są najbardziéj na pożar wystawione. W razie potrzeby można za odkręceniem czopa wpuścić w takie miejsca prąd pary, która ma jeszcze i tę dogodność, iż nie uszkadza tyle towarów, jak sikawki lub wyrzucanie przez okna. Przeto niéma już żadnéj wymówki dla fabryki, która używając pary do poruszania maszyn, zupełnie pogorzeje.«

Race kongrewskie. Przy bombardowaniu Tangeru i Mogadoru użył pierwszy wojenny okręt francuzki rac Kongrewa. Anglicy używali ich jeszcze roku 1809, przy szturmie lorda Cochrane do Air. Pewien Hiszpan, który podczas bombardowania w Tangerze bawił, opowiadał w obecności kilku francuzkich oficerów, iż widział na własne oczy, jak jedna tylko raca zburzyła niewielki domek maurytański i pięciu osobom śmierć zadała. Cała północna część Mogadoru ma leżeć w gruzach. Na Tanger rzucono 50, na Mogador 182 rac, i to wszystkie z okrętu wojennego »*le Rubis*«, gdzie się najmniejszy wypadek nie wydarzył, chociaż race przed 15 laty sporządzone były. Ten pomyślny skutek jest tedy dostatecznym dowodem, iż strzelanie témi racami z okrętów, może być bez żadnego niebezpieczeństwa uskutecznione. Ztemwszystkiem wymaga tak sporządzanie tychże rac, jako téż strzelanie niemi nadzwyczajnéj wprawy i znajomości rzeczy.

Mała pomyłka. Francuzkie i angielskie pisma opowiadają następującą ciekawą anegdotkę o znajomym lordzie Brougham. Przed niejakim czasem napisał uczony lord rozprawę zamierzającą dowieść, iż cesarz rossyjski Alexander we wszystkich swoich postępkach okazywał się zawsze godnym wychowankiem francuzkiego filozofa La Harpa; przyczém z nadzwyczajną bystrością wynalazł wiele charakterystycznych własności, które cesarz od swego nauczyciela miał przejąć. Po ukończeniu dzieła, przesłał lord Brougham jeden exemplarz sławnemu astronomowi Arago, prosząc go o wynurzenie mu swego zdania o téj uczonéj pracy. Arago przeczytał ją i odpisał: »Odczytałem z przyjemnością dzieło wpana o cesarzu Alexandrze i Laharpie; muszę go jednak zrobić uważnym, iż nauczycielem cesarza Alexandra *nie był autor Laharpe*, lecz znajomy jenerał tego nazwiska. Wyjąwszy tę jedną pomyłkę, którą wytknąć musiałem, jest cała uczona praca wpana dziełem mistrzowskiem.«

Uzdrawiająca siła galwanizmu. Wychodzący w Paryżu dziennik lekarski donosi iż dr. Person w jaknajpomyślniejszy sposób galwanizmu do leczenia biel-

ma używa. Przekłuwa on śpilką cierpiące oko i wpuszcza w uczyniony tak otwór prąd galwanijny. Ten rodzaj operacyi nazywa on galwanopunkturą.

Tkań pajęcza. Ciekawą może będzie rzeczą przypatrzyć się dokładniej, w jaki sposób taknazwane krzyżowe pająki ulotną siatkę swoję tkać zwykły: Znalazłszy stosowny kącik, opiéra się pająk tylną częścią ciała o miejsce, do którego tkankę przyczepić myśli, i można wyraźnie dostrzedz, jak on dwojaką z siebie materyję dobywa i urabia: najprzód materyję lipką, do przylepienia nitki, a wreszcie samąż materyję z któréj wysnuwa nitkę i ciągnie ją za sobą. Wybor miejsca sprawia pająkowi największe troski, długo bowiem biega niespokojnie po ścianie i po innych przedmiotach, zanim pracę rozpocznie. Gdy się już ma zagnieździć, przyczepia piérwszą nitkę u góry i wysnuwając ją z siebie, spuszcza się po niéj na dół. Poczém bieży po ścianie nazad do góry, aby tam nitkę po trzeci raz przymocował. Teraz dopiéro następuje najskuteczniejsza część całéj pracy, gdyż dla utrzymania tkanki wolno w powietrzu, musi pająk nitkę poraz czwarty w takim punkcie przyczepić, któryby miał inny poziom niż trzy poprzednie, czego nawet najbieglejszy matematyk nie zaraz przez wyrachowanie dociécby umiał. Przyczepiwszy tak nitkę, a czasem, zwłaszcza przy nadchodzącéj słocie, i większą ilość krzyżujących się pasem, snuje następnie nową nitkę, od któréj środka zaczyna ciągnąć dalsze promienie tkanki. I to jednak nie dzieje się bez wielkiego zachodu, gdyż dla przymocowania tego promienia musi pająk leźć około piérwszéj nitki, wzdłuż całéj peryferyi. Co gdy się stało, wraca tąż samą drogą nazad i przyczepia nitkę znowu do centrum, przezco jest dopiéro drugi promień rozpięty. Po wyciągnieniu wszystkich promieni zabiéra się pająk do otoczenia siatki bocznémi, centralnémi kołami, to jest przymocowuje znowu piérwszą nitkę we środku, i postępuje spiralném kołem, aż póki oddalając się coraz bardziej od centralnego punktu u spodu, nie połączy wreszcie najwyższą peryferyję promieni.

Fueros baskijskie. Najznamienitsze z tych swobod są następujące: 1) Każdy Baskijczyk jest szlachcicem; 2) prowincyje baskijskie nie opłacają żadnych innych podatków, jak tylko dobrowolnie składane dary; 3) żaden Baskijczyk nie może być sądzonym poza obrębem swojéj rodzinnéj prowincyi; 4) w prowincyjach baskijskich panuje zupełna wolność handlowa, nieznająca żadnych ceł od wywozu ani przywozu; 5) sama tylko poczta zostaje pod zarządem królewskim; wszystkie inne urzędy publiczne mogą tylko przez Baskijczyków być piastowane; 6) wszelkiemu obcemu (to jest hiszpańskiemu) wojsku jest wstęp do kraju wzbroniony; w razie wojny sama prowincyja się broni, a jéj wojska są tylko do służby w kraju obowiązane; 8) bez zezwolenia wszystkich mieszkańców nie mogą być żadne nowe twierdze w prowincyjach budowane; a 9) prowincyje są posłusznémi rozkazom króla, chociaż ich nie dopełniają, skoro takowe dawnym swobodom się sprzeciwiają.

Wynalezienie mostów wiszących przez Chińczyków przed 1600 laty. Najlepszym dowodem mechanicznych wiadomości Chińczyków w owym odległym czasie są ich wiszące mosty, których wynalezienie zwykle dynastyi Han przypisują. Podług zgodnych świadectw wszystkich geograficznych i historycznych pisarzów chińskich był Szang-lieng, naczelny dowódzca wojska pod cesarzem Kau-tsu, najpiérwszym przedsiębiorcą, który się podjął założyć dogodną drogę przez prowincyję Szan-se, leżącą na zachód od stolicy, a poprzerzynaną tak licznémi górami i wąwozami, iż tylko dalekiemi bocznémi drogami można się było dostać do niéj z stolicy. Mając pod sobą 100.000 robotników, poprzecinał Szang-lieng najwyższe góry, wypełnił doliny ziemią, któréj mu rozkopanie gór dostarczało, a gdzie zabrakło ziemi aby zbyt głębokie wąwozy do należytéj zasypać wysokości, budował mosty spoczywające na słupach. W niektórych miejscach, gdzie góry urwistémi przepaściami poprzedzielane były, urządził wiszące mosty, które po obu bokach przepaści umocować rozkazał. Te mosty, nazwane bardzo trafnie »latające«, mają się dotąd nader licznie w Chinach znajdować, i są niekiedy tak wysokie, iż nie można przechodzić po nich bez trwogi. Tak naprzykład rozciąga się jeden do dziśdnia jeszcze w prowincyi Szen-se trwający most pomiędzy dwoma górami na 400 stóp rozległości, nad przepaścią mającą 500 stóp głębi. Większa część tych wiszących mostów jest tak szeroką, iż czterech jeźdźców wygodnie obok siebie przejéżdżać może, a po obu bokach znajdują się poręcze dla bezpieczeństwa podróżnych. Nie jest wcale nieprawdopodobną rzeczą, aby dawne doniesienia missyjonarzów o tych wiszących mostach chińskich — z których wiele było także z żelaza zbudowanych — nie mogły były stać się piérwszą przez europejskich inżynijerów pochwyconą skazówką do wykonania podobnych dzieł w Europie.

Dziewica orleańska. W świeżo wydanéj »Historyi dziewicy orleańskiéj« znajdujemy powtórzenie oddawna już głoszonego, a teraz, jak autor zapewnia, z starych źródeł i archiwów czerpanego zdania: iż dziewica orleańska była tylko wykonawczynią zadanéj sobie roli, że wsparta przez króla i dwór królewski, służyła jedynie za narzędzie do podniesienia ducha w francuzkim narodzie, a potém, gdy jéj już więcéj nie potrzebowano, została opuszczoną; że król już dlatego samego nie starał się o wybawienie jéj od tak tragicznéj śmierci, ponieważ w ten sposób można się było najłatwiéj od późniejszego wyjawienia téj nastrojonéj igraszki zabezpieczyć. Mimo to jednak, trzeba będzie dokładniejszych dowodów, zanim dzieje i romantyczna poezyja dadzą sobie wydrzeć szlachetny obraz dziewicy orleańskiéj.

Nauka śpiewu w domu obłąkanych. Jak wiadomo, uczyniono w Paryżu bardzo szczęśliwą próbę używania muzyki do leczenia obłąkanych; podobnież doświadczenie przedsięwzięto obecnie w mieście Rouen, zkąd następujące wiadomości o obchodzeniu się tamże z obłąkanymi donoszą: »Znajdowaliśmy się niedawno na publicznym popisie, przy którym obłąkani obojéj płci, w obecności dobranego grona słuchaczów, wykonali kilka śpiewów w zadziwiający sposób. Już samo wpajanie obłąkanym różnych melodyj i uczenie ich zgodnego śpiewania razem, zasługuje na największą uwagę, lecz jakże nierównie więcéj powinno nas zadziwiać to pewne i prawie zupełnie dokładne odśpiewanie kilkugłosowych chórów. Ten, prawdziwie poświęcającą się wytrwałością lekarzy i nauczycieli osiągniony pomyślny skutek, zastanawia nas témbardziéj, iż wymienione w programie sztuki muzyczne, nie należą bynajmniéj do najłatwiejszych, a niektóre ustępy z taką były odśpiewane precyzyją, iżby nawet chórzystom z professyi niemałą sławę przyniosły.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.